

MATEUSZ M.  
**LEMBERG**  
**MENNICA**

*Prószyński i S-ka*

Copyright © Mateusz Marcin Lemberg, 2015

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Joanna Habiera

Korekta  
Sylwia Kozak-Śmiech

Łamanie  
Jolanta Kotas

ISBN 978-83-8069-069-1

Warszawa 2015

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa  
KMDRUK  
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14

*Kto zagląda w otchłań, może zapłacić za to częśćką  
swojego człowieczeństwa.*

Michael Capuzzo, *Klub koneserów zbrodni*



## DZIEŃ DZIEWIĄTY

### NIEDZIELA 10 KWIETNIA

Krzysztof Witczak, niegdyś w komendzie stołecznej nazywany Zerem, musiał nauczyć się wdzięczności – za trzy miesiące spokojnego snu, za gościnę ludzi, którzy go rozumieli, rozumieli jego problemy i dali mu coś, czego z początku nie potrafił docenić. Towarzystwo.

Gdyby wiedział, że tej nocy z trudem wypracowany spokój legnie w gruzach, na pewno zmusiłby się do większej wdzięczności.

Obudziło go szarpanie za rękaw, odruchowo spojrzął na stary sportowy timex, którego nigdy nie zdejmował, czego dowodziła porysowana plastikowa tarcza i zniszczony materiałowy pasek. Trzecia dwadzieścia w nocy. Na podłodze zobaczył nieregularną plamę światła wpadającą przez uchylone drzwi.

Jan Saks krzątał się w kuchni. Witczak narzuciwszy w pośpiechu ubranie, usiadł przy drewnianym stole.

Zdał sobie sprawę, że od trzech miesięcy czekał na ten moment. I czekał na pytanie, które teraz zadał mu gospodarz.

– Masz broń?

Kiwnął głową. W szafce nocnej przy łóżku leżał stary pistolet. W pierwszym dniu pobytu w Izabelinie wręczyła mu go Kamilla, kobieta, z którą przyjechał. Zanim zostawiła Witczaka, obiecała, że Saksowie pokażą mu, jak żyć ze schizofrenią. Od pół roku słyszał głosy. Ostatnio znikły, a pojawił się Starzec. Omamy wzrokowe w chorobie, z którą przyszło mu walczyć, są rzadkością, i Zero o tym wiedział. Zjawa siedziała naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Witczak pierwszy raz zobaczył ją w połowie lutego. Miała nieokreślone rysy, pomięte ubranie, siwe włosy i obwisłe policzki. Wraz z pojawieniem się Starca ustały uporczywe szepty w głowie, które przeszkadzały, dezorientowały i poniżały, naśladując zachowania dawno zmarłych członków rodziny. Starzec milczał.

Pobyt u Saksów swoim powtarzalnym rytmem przypominał życie w klasztorze. Witczak dotrzymywał towarzystwa Alinie, żonie Jana. To właśnie ona w rodzinie cierpiała na chorobę psychiczną. Słyszała głosy, ale od kilku lat nie przyjmowała żadnych psychotropów. Miała lepsze i gorsze momenty. Kiedy omamy zaczynały ją przytłaczać, szła do pracowni i siadała przy sztaludze. Słyszał, jak rozmawia z głosami. I właśnie sztuki negocjacji próbowała nauczyć gościa. „Jesteś jak prezes spółki – mówiła. – One są jak krzykliwa rada nadzorcza. Musisz nauczyć się nad nimi panować”. I zawsze powtarzała: „Pamiętaj, masz nas. Stale. Przez całą dobę”.

Jan kilka razy wyjeżdżał. Wtedy Witczak czuł się potrzebny. Razem z Aliną robili zakupy, pracowali w ogrodzie, spacerowali. Wdrożył się w ten powolny rytm.

Ostatnia prośba Kamilli nadal brzmiała mu w uszach: „Grozi im niebezpieczeństwo. Potrzebują ochrony”. Przez pierwsze tygodnie wciąż rozmyślał, co takiego mogło grozić dwojgu bezrobotnym pięćdziesięciolatkom. Postanowił sprawdzić, uruchomić swoje kontakty w policji. Był już na emeryturze, ale znajomi na pewno wyświadczyliby mu przysługę. Ale zwlekał, a teraz było już za późno.

– Za kwadrans wychodzimy – oznajmił Jan, dopijając kawę.

– Co z Aliną? Zostanie sama? – Żona gospodarza spała, nieświadoma powrotu męża z tygodniowej podróży.

– Wrócimy, zanim się obudzi. – Saks wymownie spojrział na zegarek. Witczak wycofał się do swojej sypialni, wyjął z szafki ukryty w zawiniątku pistolet, naładował magazynek nabojami leżącymi obok w pudełku. Był gotów.

Starzec wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Ale milczał. Wyszli z domu i wsiedli do jeszcze ciepłego po długiej trasie samochodu. Brama wciąż była otwarta.

## DZIEŃ PIERWSZY

### SOBOTA 2 KWIETNIA

– Mam problem. – Maciej Wilk siedział w maleńkim pokoju, który służył mu za biuro. Na starym biurku walały się kwity – wypełnione oświadczenia myśliwego nieskładnie zebrane w pomiętych tekturowych teczkach, zapisy temperatur i inne. Z uchylonej szuflady wystawały pomarańczowe końcówki plastikowych plomb.

– Zorientowałem się – odparł siedzący na zapadniętej kanapie sierżant Adam Tzymański, przez kolegów ze stołecznej nazywany Hifem. Znajomi z koła łowieckiego używali innej, starszej ksywy.

– Tak, Śmierdzielu? – Stary człowiek uśmiechnął się lekko i wychylił nieco ze skrzypiącego krzesła. Na kolanach trzymał przywiezioną do przystrzelenia\* dubeltówkę. Od dwudziestu lat prowadził skup dziczyzny na obrzeżach Radzymina, ale był też szanowanym rusz-

\* Przyszczeliwanie – sprawdzenie celności broni.



nikarzem, który karierę zaczynał od nauki w technikum uzbrojenia w Brnie i praktykował przez trzydzieści parę lat.

– Co z Suzy? – Hif już przy bramie wyczuł, że coś jest nie tak. Zamiast radosnego poszczekiwania przywitała go złamana przez wczorajszy orkan gałąź.

Obawiał się najgorszego, teraz jego podejrzenia się potwierdziły.

– Artur bawił się w menera\*. Gamoń – sapnął stary. Oparł broń o ścianę. – Później się nią zajmiemy, dobrze?

Hif kiwnął tylko głową. Wilk przechylił się i wyrzwał przez okno.

– Mordą przyjechałeś? – upewnił się.

– Mordą – potwierdził Hif.

Stary sięgnął po wiszącą na haku wysłużoną myśliwską kurtkę. Wyszedł przez sień na ganek, kulejąc, ruszył w stronę wiaty, pod którą stał land rover discovery z 1998. Tymański podszedł do gałęzi i przeciągnął ją pod ścianę domu.

Po drodze doczekał się wreszcie wyjaśnień.

– Artur wczoraj zabrał ją na trening. Luzem, nie na otoku. Przyznał się. – Wilk prowadził uważnie,jechał powoli, skupiony na drodze, zanadto przysunięty do kierownicy i mocno pochylony. Bez okularów, które najwyraźniej powinien był sobie sprawić.

– Idiota. Zepsuje psa – skomentował Hif.

Stary odpowiedział skinieniem głowy.

– Wiesz, jaki jest Artur – dodał po chwili.

\* Przewodnik psa myśliwskiego.

Zmierzali w stronę Klembowa, mijając przeważnie pola z kilkoma niewielkimi zagajnikami i kompleksami leśnymi, z których jeden wybrał syn Wilka na szkolenie.

– A gdzie Artur? – Hif spytał, choć domyślał się odpowiedzi.

– Od wczoraj się nie pokazał. – Wilk potwierdził domysły sierżanta. – Zadzwoił tylko.

– Krzyż pański z tym chłopakiem – skomentował Tymański, zezując na pozamykane zagrody i wyczuwając przez nieszczelne okno zapach z kominów.

– Wiem za to, gdzie jest jego kurtka – odparł Wilk.

Pojechali w stronę rezerwatu Dębina, zaparkowali obok poczty. Maciej obszedł niewielki budynek i szukał w umówionym miejscu. Zanim Hif wysiadł z samochodu, usłyszał energiczne szczekanie i chrapliwe nawoływania Wilka: „Suzy, Suzy!”. Odnalazł rusznikarza, a w gąszczu zobaczył jeszcze niknące rude futro posokowca. Maciej stał przy porzuconej w krzakach klasycznej kurtce M65.

– W sumie niezła sztuczka – przyznał Hif, spoglądając na ścianę lasu po drugiej stronie wąskiej drogi.

Z leśnej głuszy dobiegło ich poszczekiwanie.

– Ruszamy.

## DZIEŃ DZIEWIĄTY

### NIEDZIELA 10 KWIETNIA

Stara terenowa łada pędziła pustymi ulicami Warszawy. Ruszyli z Izabelina przed czwartą, po kwadransie przejechali Wisłę mostem Grota, skręcili w stronę Radzymina, potem w ulicę księdza Poławskiego. Saks się nie odzywał, skupiony na prowadzeniu, co chwila zerkał na zegar w desce rozdzielczej. Zajechali na parking przy cmentarzu, mniej więcej w połowie drogi łączącej trasę na Białystok i Rembertów. Wokół panowały cisza i ciemność.

– Co teraz? – odezwał się Witczak.

Saks zapalił papierosa.

– Czekamy – odpowiedział i wydmuchał chmurę dymu.

Starzec siedział w milczeniu z tyłu. Witczak czuł jego obecność.

Po dziesięciu minutach na drodze rozbłysły światła reflektorów. Potężna toyota z napędem na cztery koła

zbliżała się od strony Rembertowa. Zaparkowała kilkanaście metrów od nich. Saks przeszedł do bagażnika. Z torbą podróżną ruszył w stronę przybyłych, uginając się trochę pod jej ciężarem. Witczak dołączył do gospodarza, ciekaw ludzi, którzy wyznaczili im spotkanie.

Z toyoty wysiadł wielki, ubrany w sportową marynarkę facet. Coś w jego wyglądzie wskazywało, że jest obcokrajowcem – niedbale zawiązany pod szyją szalik, może niestosowne na tę porę roku buty. Obok stanął pasażer – niski, napakowany blondyn. Czekali, aż Saks podejdzie bliżej. Witczak szedł za nim krok w krok, do połowy dzielącego samochodu dystansu. Rzucił ciężką torbę na ziemię. Wycofali się na odległość paru metrów, jakby przywieziony przez nich towar promieniował. Wysoki dał znak małemu, a ten zbliżył się do pakunku, przyklęknął, otworzył zamek, zajrzał i wrócił z torbą do kumpla. Zamknęli się w toyocie, zapalili lampkę podsufitową, oglądali coś pod światło. Po chwili niski wysiadł z małą walizką o przetartej na kantach skórze. Witczak pomyślał, że musiała być stara. Facet zrobił kilka kroków w ich stronę i od niechcienia cisnął neseser na ziemię, w miejsce, gdzie wcześniej leżała torba. Saks kucnął, wewnątrz znajdowały się równe rzędy dwustużłotowych banknotów. Jakieś dwadzieścia grubych plików. Jan podniósł walizkę bez przeliczania i sprężystym krokiem skierował się do łady.

To wszystko? – chciał zapytać Witczak. Wtedy tuż obok ujrzał Starca, który zwrócił ku niemu pomarszczoną twarz. „To jeszcze nie koniec” – powiedział z krzywym uśmiechem. Zero po raz pierwszy usłyszał jego głos.

Przy ich samochodzie stał trzeci facet, oparty o drzwi kierowcy. Zagradał im drogę. Saks postawił neser i zawrócił do toyoty. Witczak zrobił dwa kroki, żeby lepiej słyszeć, ale zorientował się, że język, w którym prowadzili rozmowę... cóż, brzmiał dziwnie. Trochę jak niemiecki, trochę angielski, z domieszką skandynawskiego. Nie rozumiał ani słowa, mógł tylko śledzić zmieniający się rytm mowy. Po krótkiej wymianie zdań głos Saksa przeszedł w dyszkant.

Coś się stało, pomyślał Witczak. Coś, co zmieniło całą sytuację. W końcu padło znajome słowo. „Kamilla”. Z siostrą Jana, pracującą w szpitalu w Tworkach, łączyło Witczaka coś na kształt załączka romansu.

Jan sięgnął po telefon, po chwili oczekiwania odezwał się po polsku. Witczak zrozumiał, że pytał o Kamillę. Zacisnął w kieszeni dłoń na rękojeści pistoletu, przełożył palec wskazujący na cyngiel, gotów do działania. Rozmowa telefoniczna została zakończona, wtedy padło kolejne znajome imię. Alina. Znowu szybka, niezrozumiała, wypowiedziana równie złowrogim tonem odpowiedź. Jan zaczął krążyć po niewielkim okręgu, tamci czekali, wyższy stawiał żądania. Gospodarz Witczaka tylko kiwał głową. Potem podszedł do Zera. Facet, który pilnował łady, zniknął. Musiał obejść oba samochody, bo pojawił się przy toyocie, dołączył do kumpli. Zamknęli się w kokpicie, odpalili silnik i zaznaczyli ciemność drogi czerwoną poświatą tylnych reflektorów.

Zero i Jan zostali sami.

– Może coś powiesz? – wypuścił słowa niczym próbny balon. Choć domyślał się, że nie jest OK.

– Mają je obie – wydusił z siebie Jan, wracając z pośpiechem do samochodu.

– Nie tak szybko – zatrzymał go Zero, wskazując na kapeć w przedniej oponie. – Zabezpieczyli się.

Wtedy ponownie przemówił Starzec. Odgarnął siwe strąki włosów opadające mu na pomarszczone czoło. Jego głos wydał się Witczakowi znajomy.

„Ale się wpierdoliłeś” – rzucił.

## DZIEŃ PIERWSZY

### SOBOTA 2 KWIETNIA

Pół godziny przedzierał się przez las, podążając za psem, który co chwila pojawiał się przed nimi w odległości kilkudziesięciu metrów, jakby czekał, kręcąc się w kółko i poszczekując niecierpliwie. Na widok ludzi biegł dalej. Wypatrywali ścieżek, ale Suzy prowadziła ich swoją trasą, na szczęście rzadkim dębowo-grabowym lasem. Nie męczyli się zanadto, musieli tylko omijać grube pnie powalonych starców. Wypatrywali śladów farby i zastanawiali się, co wytropił pies. Nie dostrzegli jednak żadnych kropelek, z których mogliby cokolwiek wynioskować.

– Z kim zrobił ścieżkę tropową? – zastanawiał się Hif, myśląc o Arturze i metodzie szkolenia, jaką obrał. Bo miał nadzieję, że jednak jakąś obrał.

– Aż taki głupi nie jest – zaperzył się Maciej. – Sam, ale najwyraźniej Suzy wpadła na coś innego.

– Może jakiś postrzałek? Albo sidła? – Okoliczni mieszkańcy borykali się z plagą kłusownictwa.

W odpowiedzi Maciej ściągnął z ramienia kniejówkę. Hif nie zabrał nieprzystrzelonej dubeltówki, ale w kaburze trzymał służbowego glocka.

– A może biega za obcierką\* – powiedział z nadzieją Hif. Postanowił, że jego pistolet zaczeka spokojnie na rozwój wypadków.

– Mało farby, dużo mięsa – zakpił Wilk, cytując znane powiedzenie.

Usłyszeli wreszcie pełne pasji szczekanie suki dobiegające z gęstego młodnika. Wilk przykucnął z marszem na twarzy. Hif nerwowo bawił się swoją zippo.

– Co myślisz? – zagadał sierżant, ale stary myśliwy tylko nadstawiał ucha ze skupieniem malującym się na okrągłej twarzy. – Sądząc po trasie – jeleń, po młodniku – dzik. – Tymański robił się w nerwach gadatliwy, czego najwyraźniej nie mógł znieść stary. Machnięciem dłonią ucizył towarzysza. Ale ten nie dał się tak łatwo uspokoić.

– Jeśli zaszarżuje, to po niej.

Wilk wstał ze stęknięciem i ruszył krok za krokiem w bok, by obejść młodnik w poszukiwaniu tropu wejściowego. Problem polegał na tym, że dotąd żadnego tropu nie widzieli. Szczekanie psa było coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżali się do skupiska niskich drzew. Kiedy Maciej odnalazł prześwit, ponownie klęknął i przygotował broń do strzału. Nasłuchiwali, pies zamilkł.

\* W języku łowieckim strzał, który nie zranił zwierzęcia poważnie, a jedynie zadał mu powierzchowne rany.



W gąszczu nie widzieli żadnego ruchu aż do momentu, kiedy z gałęzi wyskoczyła na nich psia torpeda. Stary w ostatniej chwili opuścił lufę. Suzy ocierała się o właściciela, merdała ogonem i piszczała z radości. Wskazywała kufą na młodnik, w końcu zniecierpliwiona spróbowała pobiec z powrotem, gdy nie doczekała się chwili triumfu. Hif powstrzymał ją mocnym chwytem za tropową obrozę z szerokiego pasa skóry.

– Czekaście tutaj – rozkazał rusznikarz głosem kierownika polowania, któremu nawet sierżant ze stołecznej nie odważyłby się sprzeciwić w łowisku.

Podążył wąską ścieżką wydeptaną przez dziki, schylony rozgarniał gałęzie, starając się nie narobić hałasu, z kniejówką gotową do strzału, po czym zniknął w zaroślach. Zdezorientowana suka piszczała za panem i usiłowała się wyrwać z uwięzi. Hif próbował ją uspokoić.

– O Boże! – rozległ się krzyk z zagajnika. – Śmierdziel, do mnie! – padło wezwanie jak do psa.

Małe rączki wyciągnięte do czerwonego pudełka przypominającego domek z żółtymi uchwytyami wystającymi z dachu, oczywiście w kształcie litery M. I pisk zniecierpliwionej dziewczynki, którą bardziej niż zawartość pudełka interesuje zabawka – magiczne jabłko z ukrytą w środku figurką kotki w różowej sukience i z różową kokardką na głowie. Chwila zabawy i rączki wędrują do frytek, buzia otwiera się na żądanie matki, która właśnie odwinęła bułkę z hamburgerem i przystawia dziecku do ust. Po chwili policzki i czubek nosa są umazane keczupem.